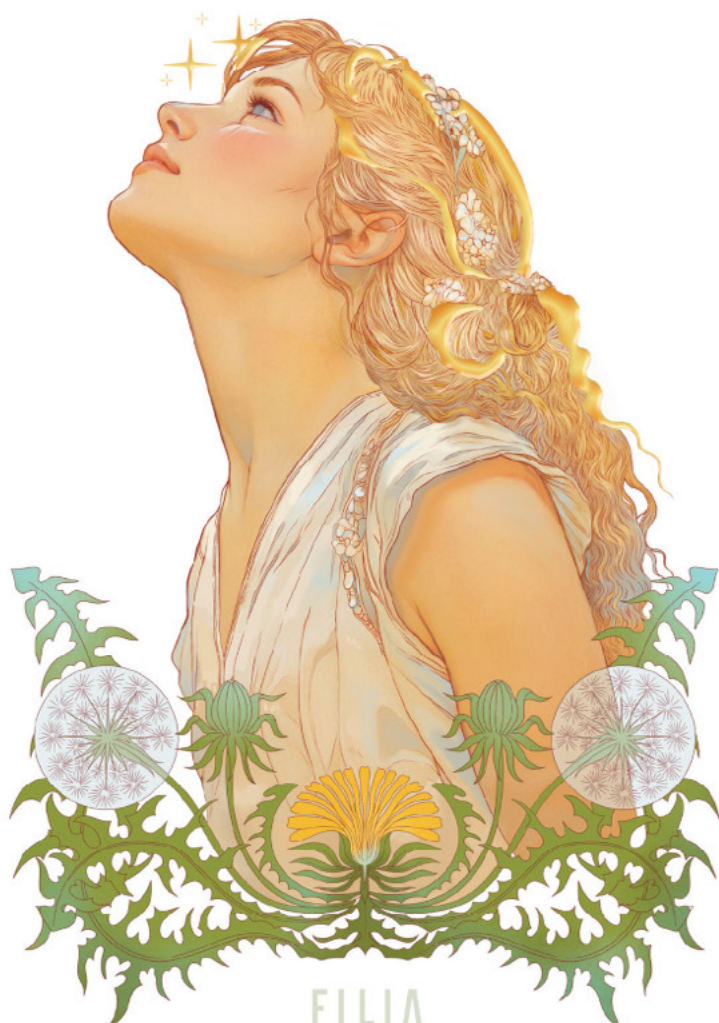


KIM HOLDEN

PROMYCZEK



FILIA

KIM HOLDEN

PROMYCZEK



Przełożyła
Katarzyna Agnieszka Dyrek

FILIA

Dla B., Debbie i Robin.
Dziękuję, że pokochaliście te postacie równie mocno jak ja.

PRZEDMOWA DO WYDANIA JUBILEUSZOWEGO

Trzymajcie się mocno, Moi Kochani, bo pewnie zaraz się wzruszę i napiszę niezbyt elegancki (ponieważ istnieje szansa, że przez to moje rozentuzjzmowanie wszystko poknoce), ale szczerzy list.

W 2014 roku stworzyłam i samodzielnie wydałam przedziwną, skromną historię o Kate – szalenie pozytywnej młodej kobiecie, która uwielbiała muzykę, zachody słońca, taco, kawę, sarkazm i dobrych ludzi. A ponieważ życie niekiedy potrafi być zaskakująco osobliwe i całkowicie nieprzewidywalne, stało się coś, czego nigdy bym się nie spodziewała. Powieść tę przeczytali nie tylko mój tata, mąż i moja przyjaciółka Robin. Ludzie na świecie dali szansę zupełnie nieznannej i niezależnej pisarce oraz jej prostej, niedużej książce, a potem w niewytłumaczalny sposób pokochali jej główną bohaterkę zupełnie tak samo jak ja. Napisałabym, że mnie to oszołomiło, ale to chyba byłoby wielkim niedopowiedzeniem. A jakby tego było mało, wszechświat zatarł ręce i radośnie rzucił: „To jeszcze nic. Patrz teraz!”, po czym sytuacja z niebywalej stała się jeszcze bardziej dziwna. Wydawnictwo Filia pojawiło się w moim życiu niczym Wróżka Chrzestna, machnęło różdżką i spełniło marzenie, na które nawet nie wiedziałam, że mogę sobie pozwolić. Przetłumaczyło, wydało i rozpromowało moją książkę w Polsce. W POLSCE! Ja – dziewczyna z Kolorado – w magiczny

sposób stałam się poczytną pisarką w kraju, którego nigdy wcześniej nie odwiedziłam, a który znajdował się po drugiej stronie globu. Po wszystkich tych latach wciąż mam wrażenie, że to nie może być prawda. Nie wyobrażam sobie, żeby to kiedykolwiek się zmieniło. Mam niesamowicie wielkie szczęście.

W przeciągu dekady, odkąd moja Filiowa rodzina (ponieważ odkąd się poznaliśmy, tym właśnie są dla mnie wszyscy ci ludzie) dokonała CAŁEJ tej magii, największą radość i absolutny zaszczyt stanowił dla mnie fakt, że mogłam nawiązać zarówno osobisty, jak i internetowy kontakt z polskimi czytelniczkami i czytelnikami. Odwiedziłam Warszawę i Kraków, a w obu tych miastach przywitaliście mnie dosłownie z otwartymi ramionami. Nigdy, przenigdy o tym nie zapomnę. Uważam, że jestem dobra w dawaniu przytułaków, jednak to zdecydowanie Wasza supermoc. Nawet pomimo bariery językowej, poprzez ten prosty, ale jakże uniwersalny gest miłości i akceptacji byliśmy w stanie się porozumieć i połączyć. To wielki dar. Po dziś dzień, gdy spotykamy się w sieci, Wasze gigantyczne serca zawsze sprawiają, że czuję się, jakbym pozyskała prawdziwych przyjaciół. Codziennie pokazujecie mi, jak to jest móc widzieć i czuć życzliwość Kate w prawdziwym świecie. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję i mam nadzieję, że potrafię się odwzajemnić.

Wiem, że muszę kończyć, bo mimo wszystko czeka na Was historia, ale nie mogę przestać myśleć: „Minęła dekada? Jakim cudem upłynęło aż tyle czasu?”. Przez dziesięć lat pozwalaliście mi – kochającej muzykę, za-

chody słońca, taco, kawę, sarkazm i dobrych ludzi, często wstydlivej kobiecie – spędzać czas z Wami – wszystkimi wspaniałymi osobami – w tej cudownej, pełnej miłości bańce *Promyczka*. Z całego serca dziękuję Wam za to, Drodzy Czytelnicy. Jak mawiała Kate: „Chodzi o zachody słońca i ludzi. Zwłaszcza o ludzi”. Nasza bohaterka zawsze ma rację.

Chodzi o WAS.

To właśnie dzięki Wam powstało to wydanie jubileuszowe z okazji dziesięciolecia mojej książki na polskim rynku.

Wy sprawiliście, że spełnia się kolejne marzenie, na które nawet nie wiedziałam, że mogę sobie pozwolić.

Bardzo Was kocham.

Ogromnie.

I mocno ściskam.

Do epic
Kim

22 SIERPNIĄ, PONIEDZIAŁEK KATE

– Co u ciebie, łobuziaro?

– Och, no wiesz, prowadziłam non stop ze trzydzieści godzin, chociaż nie jestem pewna, ile dokładnie. Nie spałam ze dwa, może trzy dni. Wypiłam wiadro red bulla i beczkę kawy, więc u mnie chyba bez zmian.

Śmieje się.

– Młoda, płynie w tobie krew kierowcy tira.

– Dla ciebie Matki Ciężarówek.

Ponownie się śmieje.

– Wypas! Zrezygnuję z nazywania cię Promyczkiem i zacznę na ciebie wołać Matka Ciężarówek.

Rozmawiamy lekko, naturalnie, właśnie tak, jak na to liczyłam. Po naszym rozstaniu w San Diego kilka dni temu nie wiedziałam, czego się spodziewać po tym telefonie.

Zapada niezręczna cisza.

W ciągu dziewiętnastu lat naszej znajomości to się nigdy nie zdarzyło.

– To co, Minnesota?

– Tak.

– Jesteś u Maddie?

– Tak.

– A tak w ogóle co słyhać? – pyta Gus.

– Jakoś leci. – Rany, jest coraz gorzej. Gus brzmi na znudzonego, jednak słyszę jego silne zdenerwowanie. Zastanawiam się, dlaczego nie usłyszałam jeszcze, że

odpalił papierosa. Jak na zawołanie dobiega mnie kliknięcie zapalniczki i znajomy dźwięk pierwszego głębokiego wdechu. – Powinieneś...

Przerywa mi:

– Lepiej się rozłączę. Właśnie podjechałem pod dom Robbiego i wygląda na to, że wszyscy już są, a ja jak zwykle się spóźniam. Czekają na mnie.

Jestem rozczarowana, ale doskonale wiem, że inni ludzie nie rzucą wszystkiego tylko dlatego, że Kate tego chce. Przywołuję więc na twarz swój najlepszy uśmiech i odpowiadam:

– Tak. Jasne. Będziesz zajęty jutro wieczorem? Mogłabym zadzwonić.

– Po pracy planuję posurfować, ale ogólnie będę wolny. – Jego oddech się wyrównuje, ale wiem, że tylko dlatego, iż jest skoncentrowany na tym cholernym papierosie, wraz z dymem i nikotyną wciągając do płuc również spokój.

– Dobra. Kocham cię, Gus. – Zawsze to sobie mówimy. Zawsze będziemy tak robić. Dorastał, co pięć minut słysząc te słowa od matki, a mówiła szczerze. Było to dla niej naturalne. Ja natomiast nigdy czegoś takiego od swojej nie słyszałam, jakby nie mówiła tego celowo, jakby taka była jej natura. Była wobec mnie obojętna. Odczuwałam to każdego dnia. Głęboko w kościach. Myślę, że właśnie dlatego zawsze uwielbiałam słyszeć te słowa od Gusa i jego mamy, Audrey. Ciężko było im nie zakończyć w ten sposób rozmowy.

– Też cię kocham, Promyczku.

– Pa.

– Pa.

Zatrzymałam się u Maddie, która jest moją ciotką – dużo młodszą, przyrodnią siostrą mojej matki. Młodszą przyrodnią siostrą, o której istnieniu nie wiedziała aż do pogrzebu dziadka (ich wspólnego ojca) trzy lata temu. Przez większość życia dziadek nie utrzymywał kontaktu z moją matką. Zostawił żonę i córkę, gdy mama miała może z dziesięć lat. Pewnego dnia zniknął i najwyraźniej założył drugą rodzinę, po czym wrócił zaledwie kilka lat przed swoją śmiercią. Polubiłam go, choć widziałam się z nim tylko kilka razy. Nie mogłam go winić za to, co zrobił. Nic nie wiedziałam o jego życiu.

Tak czy inaczej, Maddie przyjechała na pogrzeb, a mojej matce na wieść, że ma przyrodnią siostrę, opadła szczęka. Mama długo czekała, by urodzić córki, czyli Grace i mnie. Być może „czekała” nie jest właściwym określeniem. Grace pojawiła się na świecie w wyniku wpadki, ja byłam nieudolną próbą zatrzymania mężczyzny, który nie chciał tej rodziny. Matka miała trzydzieści dziewięć lat, gdy urodziła Grace, i czterdzieści, kiedy pojawiłam się ja. Maddie ma w tej chwili jedynie dwadzieścia siedem lat i jest starsza ode mnie tylko o osiem, co oznacza, że przyrodnie siostry dzieli niemal trzydzieści dwa długie lata różnicy. Dokładnie tak, jak wskazuje na to matematyka. Mój dziadek był żywotnym starszym panem. No, ale jak już mówiłam, nie mnie to oceniać.

W każdym razie mam ciotkę, o której istnieniu nie wiedziałam, więc jej nie poznałam. Wyjątkiem była jedna wizyta, kiedy przez tydzień mieszkała w domu mojej matki w San Diego. Było to dwa lata temu. Zatem gdy

dowiedziałam się, że zostałam przyjęta (i dostałam stypendium) w Grant, małej uczelni w jeszcze mniejszym mieście o tej samej nazwie, na obrzeżach Minneapolis, zadzwoniłam do Maddie. Zadałam jej pytanie, czy mogę zatrzymać się u niej na jakiś tydzień, nim wraz z początkiem nowego semestru na uczelni będę się mogła przeprowadzić do akademika. Maddie wahała się, jakbym poprosiła ją o przekłętą nerkę, w końcu się jednak zgodziła. Tak więc od godziny siedzę w jej pokoju gościnnym i już zdążyłam poczuć się jak nieproszony gość.

Rozpakowuję walizkę, układam szczoteczkę, pastę, szampon, odżywkę i maszynkę do golenia w wielkiej, przylegającej do pokoju gościnnego łazience. Maddie ma naprawdę ładne mieszkanie. Nic nie wiem o kosztach życia w Minneapolis, ale wygląda na dość drogie. Luksusowe. Wiem, że niektórzy lubią przepych, co kto woli, jednak dla mnie to nieco przereklamowane. Wolę prostotę. Taka fantazyjność wiele ukrywa, podczas gdy prostolinijność sprawia, że wszystko widać jak na dłoni. Przypominam sobie o mieszkaniu w San Diego, za którym tęsknię. Był to przerobiony na lokum garaż, który wynajmowałam od ogrodnika mojej mamy. Pan Yamashita zrobił w środku niewielką łazienkę, w której myłam naczynia. Mieszkanie było ciasne i ciemne, no, chyba że otworzyłam drzwi garażowe, jednak je uwielbiałam. Było proste. Stało się moim domem. Wprowadziłyśmy się tam z siostrą jakiś rok temu. Szukałyśmy czegoś dla siebie, a pan Yamashita był miłym staruszkiem, który żądał śmiesznie małego czynszu, więc nie mogłam odmówić. Spałyśmy z Grace

na podwójnym łóżku, a mały stolik i dwa krzesła służyły nam za jadalnię, biurko i przestrzeń do gier. Nie miałyśmy dużo miejsca, ale było przytulnie. Mieszkanie znajdowało się przecznicę od oceanu, na rogu posesji, z której rozpościerał się idealny widok na wodę. Każdej nocy po kolacji i kąpeli Grace otwierałyśmy drzwi garażowe, siadałyśmy na skraju łóżka i przyglądałyśmy się zachodzącemu nad oceanem słońcu. Kiedy zaczynało się zanurzać, a fale na horyzoncie przybierały pomarańczową barwę, Grace brała mnie za rękę, unosiła nasze złęczone palce i krzyczała: „Czas na show!”. Powtarzałam: „Czas na show!”. Trzymała nasze dłonie na kolanach, dopóki nie zrobiło się zupełnie ciemno. Zaczynała wtedy klaskać. Robiłam to wraz z nią. Mówiła: „Ten był najlepszy, prawda?”. Zgadzałam się z nią i jakimś cudem zawsze w to wierzyłam. Zamykałam bramę, układałam nogi Grace w łóżku i kładłam się obok. Przykrywałam ją, całowałam w czoło i mówiłam: „Kocham cię, Grace. Dobranoc, pchły na noc”, na co zawsze odpowiadała: „Karaluchy pod poduchy. Też cię kocham, Kate” i całowała mnie w czoło. Bardzo za tym tęsknię.

Po ułożeniu rzeczy wychodzę z łazienki i próbuję zagadnąć Maddie, ale rozmawia przez telefon, więc wskazuję kuchnię, jakbym prosiła o pozwolenie, czy mogę coś zjeść. Maddie z roztargnieniem kiwa głową, przy czym chichocze zalotnie do telefonu. Musi rozmawiać z jakimś facetem. Kobiety śmieją się w ten sposób jedynie, gdy rozmawiają z kimś, z kim sypiają. Lub chcą sypiać.

Jej mała suczka, Księżniczka, chodzi za mną krok w krok. Nie wiem, jakiej jest rasy, ale łatwo można ją nadepnąć, to aż takie maleństwo. Jest przyjazna, nawet ją lubię, ale muszę patrzeć pod nogi, żeby nie zdeptać jej jak mrówki.

Docieram do kuchni, przesuвам stopami po płytach, bo unoszenie ich wymagałoby ode mnie zbyt wiele wysiłku. Otwieram spiżarnię, biorę pudełko makaronu z serem stojące obok zupy wołowo-jarzynowej i batonika proteinowego, który jest tak twardy, że jego termin ważności upłynął zapewne w ubiegłym stuleciu.

Znajduję garnek, nastawiam w nim wodę, by ugotować makaron, starając się nie podsłuchiwać rozmowy, którą Maddie prowadzi w sąsiednim pokoju. Nucę pod nosem, żałując, że nie wzięłam iPoda, który leży w sypialni oddalonej o jakieś dwadzieścia kroków. Obawiam się jednak, że jeśli podejmę ten niebotyczny wysiłek, skusi mnie wspaniały widok wygodnego łóżka. A naprawdę muszę coś zjeść. Ostatni raz jadłam kilka stanów temu, chyba w Nebrasce.

Maddie kończy gadać i gdy wrzucam makaron do wody oraz otwieram paczkę sera, wchodzi do kuchni.

– Jesteś głodna? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Chyba tak.

Jemy w ciszy, wyjątek stanowi utyskiwanie Maddie na zawartość tłuszczu w serze oraz na jego okropny smak. Jednak gdy widzę, jak znika cała jej porcja, wydaje mi się, że ma ochotę wylizać talerz. Ja tam myślę, że posiłek był całkiem dobry. Nie można przecież zepsuć makaronu z serem.

Czekam, aż skończy, by jako gospodyni zaczęła jakąś prawdziwą rozmowę, choćby niewielką, ale kiedy tego nie robi, przejmuję inicjatywę.

– Długo tu mieszkasz, Maddie? To świetne mieszkanie.

– Jakoś ponad rok. Może być. – Brzmi na znudzoną, jakby mówienie wymagało od niej zbyt wiele wysiłku.

– Może być? Jezu, jest świetne. To apartamentowiec na obrzeżach miasta. Okolica wygląda na całkiem przyjazną, wszystkie sklepy i restauracje są pod ręką. W budynku jest podziemny parking, masz tu ochronę, siłownię i basen. To wspaniałe mieszkanie, Maddie.

Wzrusza ramionami.

– Na razie wystarczy. Szukam innego. W lepszej dzielnicy. Z ładniejszym otoczeniem. Z większą ilością udogodnień. Ale podpisałam właśnie półroczną umowę najmu, więc chyba nie będę mogła jej wcześniej rozwiązać – narzeka.

Kiwam głową. „Na razie wystarczy”? Rany, próbuję jej nie oceniać, ale im dłużej przebywam w towarzystwie Maddie, tym większe mam wrażenie, że coś jest nie tak. To znaczy, w naturze człowieka leży zapełnianie pustej przestrzeni, a lista tego, czym można ją wypełnić, jest długa, czasem to coś dobrego, czasem złego. Mam przeczucie, że ona poświęca czas rzeczom, pieniądzą, dobrom materialnym. Znajduje się w punkcie, w którym pragnie się więcej i zapomina się o tym, by być wdzięcznym za już posiadane dobra. To smutne. Chciwość jak z bajki dla dzieci o muszce i pająku. Chęć zdobycia pieniędzy i luksusowych rzeczy – to

pająk, a Maddie wydaje się być wielką muchą. Próbuję nie myśleć o niej negatywnie.

– Jak tam w pracy? Jesteś prawniczką, tak? – Minęło tyle czasu od jej wizyty u nas, więc przekopuję się przez wspomnienia, by wyciągnąć coś interesującego.

– Tak. W Rosenstein & Barclay, w centrum Minneapolis.

– Fajnie. – Zdaje się, że to ja muszę poprowadzić tę rozmowę. – Pewnie jesteś bardzo zajęta, ale może masz czas na jakieś hobby? Co lubisz robić w wolnym czasie?

Rozpogadza się, słysząc to pytanie, jakbym w końcu trafiła w interesującą nutę.

– Lubię robić zakupy, chodzić do kosmetyczki, fryzjera, kilka razy w tygodniu do solarium. – Mierzy mnie wzrokiem i kończy wymieniać. Najwyraźniej uznaje, że nie mamy wiele wspólnego, ponieważ moje włosy związane są w luźny kok na czubku głowy, paznokcie mam obgryzione do krwi, a spodnie od dresu oraz koszulka z logo zespołu Manchester Orchestra są cienkie i rozciągnięte od częstego noszenia i prania. Jestem opalona, jednak nie pod sztucznym światłem lamp, ale dzięki przebywaniu na zewnątrz, i mam pewność, że Maddie o tym wie. – Och, i co rano muszę ćwiczyć. – Nacisk, z jakim to mówi, jest odrobinę niepokojący.

– Ćwiczysz w siłowni na dole? Zajrzałam tam, gdy wchodziłam. Wyglądała przyjaźnie. Może jutro sama pójde pobiegać na bieżni.

Gwałtownie wciąga powietrze, jakbym kazała jej zjeść jakąś starą kanapkę.

– O Jezu, nie rób tego. To ohydne miejsce. Trenuję na prywatnej siłowni, blisko budynku, w którym pracuję. Nazywa się Minneapolis Club.

Mam ochotę powiedzieć: „Oczywiście, że tam trenujesz”, ale tylko kiwam głową i czekam, aż mi przejdzie.

– Brzmi nieźle, Maddie. – Wstaję i zbieram naczynia. – Chyba czas, bym się położyła. Dzięki za makaron z serem. Jutro zrobię jakieś zakupy. Teraz jestem już padnięta.

– Mogłabyś mi kupić niskotłuszczowy jogurt jagodowy? – pyta, gdy wkładam talerze i garnek do zmywarki. Prawdziwej zmywarki. Jestem tak zauroczona tą maszyną, że niemal nie słyszę pytania. Mam ochotę uklęknąć, wyciąłować i wielbić ten sprzęt.

– Jasne. Hej, masz zaparzac do kawy? Mój nie przetrwał przeprowadzki, a tak jakby jestem uzależniona od kofeiny.

Słyszę prychnięcie Maddie, więc mam wrażenie, że czymś ją obraziłam. Kiedy mijam ją w drodze do sypialni, gdzie mam zamiar zahibernować się na jakieś siedemnaście lub osiemnaście godzin, Maddie kręci głową i przygląda mi się, jakby wyrosło mi trzecie oko.

– Dlaczego miałabym mieć zaparzac? Tuż obok jest Starbucks.

– Ach tak, oczywiście. – Chyba właśnie w taki sposób żyją prawnicy. Kiwam głową i zapamiętuję, by kupić jutro nowy sprzęt do parzenia kawy. – Dobranoc, Maddie.

NOWE WYDANIE Z PRZEDMOWĄ KIM HOLDEN!

Życie Kate Sedgwick nigdy nie było bezbarwne. Dziewczyna pomimo problemów i tragedii zachowała pogodę ducha – nie bez powodu jej przyjaciel Gus nazywa ją Promyczek. Kate jest pełna życia, bystra, zabawna, ma również wybitny talent muzyczny. Nigdy jednak nie wierzyła w miłość. Właśnie dlatego – gdy wyjeżdża z San Diego, by studiować w Grant, małym miasteczku w Minnesocie – kompletnie nie spodziewa się, że przyjdzie jej pokochać Kellera Banksa.

Oboje to czują.
Oboje mają powód, by z tym walczyć.
Oboje skrywają tajemnice.

Kiedy wyjdą one na jaw, mogą uzdrowić...
Mogą również zniszczyć.

wydawnictwofilia.pl



FILIA

cena 89,90 zł

ISBN 978-83-8357-980-1



9 788383 579801